Dodatek do N-ru 32go Wieczorów Rodzinnych, Rok 1888.

LEKKOMYŚLNI.

— Obrzydła liszko, idź precz odemnie,
Przyjaźń chcesz z nami zawrzeć, daremnie —
Mówiły z dumą stubarwne kwiatki.
Aż gdy się z liszki stał motyl rzadki,
Od samych kwiatów barwistszy prawie,
Kwiatki z nim rade były zabawie.
Lecz on każdego skrzydełkiem drażni,
Z żadnym nie zawrze stalszéj przyjaźni,
Bo ten, co zdanie zmienia co chwila,
Nie wart przyjaźni nawet motyla.

M. Z.

PRZEZ SKOWRONKA.

Daleko, daleko, na krańcu ogromnéj łąki, za dużą wsią, stał młyn; u stóp jego bieżał strumień obfity, który wprowadzał w ruch koła młyńskie, a potem długą, krętą wstęgą płynął przez całą łąkę, w świat. Plusk wody rozlegał się dniem i nocą od młyna, bo młynarz dużo miał zawsze roboty. Miejscowość to była bardzo ładna, śliczne drzewa ocieniały strumień, zdawałoby się, że żyć tam powinno być miło, i że mieszkańcy tego uroczego zakątka powinni być szczęśliwi, a przecież Zosia, jedyna córeczka młynarza, wcale szczęśliwą nie była.

— Matuchno — biadała często, czepiając się matki, zawsze zajętéj gospodarstwem — mnie tak smutno, ja taka biedna, nie mam nikogo do zabawy; woda wiecznie pluszcze i pluszcze, aż się przykrzy słuchać, a ja nie mam do kogo ust otworzyć.

— Jak ty możesz smucić się, mając tyle kaczątek, kurczątek, gąsiątek, gołąbków, psiaków i kociąt do zabawy? — odpowiadała matka — pomyślno o nich, żeby każde miało co jeść trzy razy dniem przynajmniéj, opiel i podlej kwiatki w ogródku, a zobaczysz, że nie będziesz miała czasu się smucić.

— E... co mi tam gąsięta, co mi tam koty, kiedy z żadnem pomówić nie można... — szeptała Zosia i smutna odeszła od matki, wyszła z zagrody i szła w pole sama jedna, powoli, nie wiedząc sama po co, byle tylko odejść od młyna i nie słyszeć wody, wiecznie gwarzącéj, gdy Zosia nie miała z kim porozmawiać.

— Ani brata, ani siostry, oto dopiero życie... — szeptała sama do siebie ze łzami w oczach.

Nad strumieniem rosło mnóstwo niezapominajek, na całéj łące, jak okiem sięgnąć, pełno było kwiatków najrozmaitszych prześlicznych, ale Zosia ani spojrzała na to wszystko, bo kwiatki sprzykrzyły jéj się dawno tak samo, jak gołąbki i kocięta. Nie zważała nawet na ptaszka, który siedząc na krzaczku śpiewał prześlicznie, bo i ptaszków, i ich śpiewania miała aż nadto na téj ślicznéj łące.

— Aj aj!... nie zbliżaj się, bo uleci!... — szepnął w téj chwili cichy głosik; Zosia drgnęła i obejrzała się żywo, śpiewający ptaszek uleciał prosto w obłoki.

— O, uleciał!... szkoda... ale to nic, przecież on wróci, bo ma tu swoje gniazdeczko! — powiedział tenże sam cichy głosik i Zosia spostrzegła dopiero małego, jak ona, chłopczyka, siedzącego na trawie, wpół ukrytego w zaroślach.

— Czy ty tak lubisz ptaki? — spytała zdziwiona.

— Ach, jak lubię! — zawołał — cóż, kiedy dotąd znałem je tylko z obrazków, albo czasem z daleka widziałem przez szybę biedaków uwięzionych w klatce, a to zupełnie co innego.

— Przez szybę? w klatce? z obrazków? I dla czegoż to? — pytała Zosia coraz bardziéj zdziwiona.

— Dla tego — odrzekł — że mieszkam w dużem mieście, i że byłem bardzo chory na nogi, widzisz o... i teraz jeszcze chodzę na tych kulach... ale już mi trochę jest lepiéj; doktorzy kazali, żebym był na wsi przez całe lato i dlatego ojciec umieścił mię w téj oto wiosce, którą ztąd widać, i teraz jestem zdrowszy. Z początku wcale chodzić nie mogłem, a dzisiaj widzisz, aż tutaj przyszedłem, bo tutaj jest takie prześliczne miejsce nad strumykiem; cóżbym dał za to, żebym tu mógł na zawsze pozostać!

Zosia patrzyła zdumiona na tego biednego chłopczynę, który za najwyższe szczęście uważał to, co dla niéj było nudnem i niemiłem. Wzruszona jego kalectwem, usiadła koło niego, aby go rozweselić i pocieszyć. Rozmawiali długo i opowiadali sobie wzajem dotychczasowe życie swoje.

— Jakto! — zawołał zdumiony chłopczyk wśród téj rozmowy — więc tobie tu smutno, choć masz tyle kacząt, gąsiąt, psów, kotów, kwiatków, ptaków, i mieszkasz we młynie, koło którego woda wiecznie pluszcze? Ach! jakież to wszystko musi być prześliczne! jakbym chciał choć raz w życiu to wszystko zobaczyć, i tę wodę pluszczącą usłyszeć!...

— Chciałbyś? to pójdź ze mną do młyna, moi rodzice bardzo są dobrzy, będą ci radzi serdecznie.

— Ach, gdybym tylko mógł się tam zawlec! — szepnął chłopczyna i zaczął z wielkim trudem podnosić się, aż wstał i oparł się przy pomocy Zosi na swoich kulach, i poszli zwolna ku młynowi, widocznemu zdaleka. Szli, szli, i już byli blizko, gdy przyszli do płotu, przegradzającego w tem miejscu łąkę:

— O!... to już przez płot ja nie potrafię przeleźć! — rzekł chłopczyk ze łzami w oczach; dotąd w czasie męczącéj wędrówki podtrzymywała go nadzieja ujrzenia tych wszystkich cudowności, o jakich mu opowiadała Zosia, a teraz przekonany, że ich nie zobaczy, stracił zupełnie odwagę i siadł na ziemi bezsilny:

— A jakże teraz zdołam do wsi powrócić? — szepnął płacząc. Zosia, która nawykła była chodzić prosto przez płoty, choćby ich dziesięć stało na drodze, nie okrążając nigdy, zakłopotała się mocno, nie wiedząc, co teraz począć z biednym chłopczykiem, ale po chwili namysłu klasnęła w rączki i głośno co siły wołać zaczęła:

— Tatku! tatusiu! tatku! Chory chłopczyk przyszedł młyn zobaczyć i przejść przez płot nie może! Tatku!

— O... znajdzie się na to sposób!... — odpowiedział gruby głos i młynarz wyszedł z głębi sadu, gdzie go bystre oczy córki dostrzegły, zbliżył się do dwojga dzieci, wziął chłopca na ręce, jakby jakiego kurczaka, Zosia wdrapała się na płot i zeskoczyła na przeciwną stronę, jak młody kotek, i poszli wszyscy do młyna:

— Żono! żono! — zawołał młynarz — na masz!... przyniosłem ci gościa, który u ciebie odpocznie i wypije szklankę świeżego mleka, potem obejrzy młyn, bo go nigdy w życiu inaczéj nie widział, jak tylko na obrazku, a bardzo jest go ciekawy.

Młynarka przybiegła natychmiast, posadziła gościa w dużem krześle z poręczami, zawołała po imieniu krówkę Białonóżkę, która natychmiast przybiegła z obory i stanęła przed otwartemi drzwiami, a Zosia udoiła mleka i podała chłopczynie, matka podała mu duży kawał rumianego, tylko co upieczonego placka. Gość jadł, pił, rozmawiał wesoło, osłabienie i łzy przeszły mu zupełnie.

— Więc ty aż z Warszawy jesteś, biedaczku? — mówiła młynarka, gładząc mu jasne włoski. A no, nic dziwnego, żeś taki słabiutki; podobno w Warszawie wysokie są kamienice i bardzo nagromadzone, słońce i powietrze mało tam ma dostępu, niema ani pola, ani lasu, ani bystréj, czystéj jak nasza strugi, tylko mętna Wisła, bo w nią wszystkie męty z całego wielkiego miasta wpadają i wodę zanieczyszczają. Nigdy ja tam nie byłam, ale coś o tem wszystkiem słyszałam, bo mieszkał tam dawniéj mój krewny, Adam Bartoszek...

— Adam Bartoszek?... a to mój ojciec tak się nazywa, i ja tak samo się nazywam! — zawołał chory chłopiec. Zdziwili się wszyscy, młynarka zaczęła wypytywać, a potem zawołała:

— Mężu! Janie! słuchaj no, wiesz ty, kogo przyniosłeś?... To jest syn mego krewnego Adama, którego nie widziałam, odkąd się tam w Warszawie ożenił! No, Zosiu, tęskniłaś do siostrzyczki, do braciszka, otóż znalazłaś go sobie na łące, teraz będzie ci weseléj, bo my go już do siebie nie puścimy, przynajmniéj dopóki zupełnie nie wyzdrowieje... trzeba zaraz o tem do jego ojca napisać.

Zosia zaczęła na te słowa skakać, jak wróbel na nici, a mały Adaś, nie mogąc skakać, śmiał się, w ręce klaskał i podskakiwał na krześle. Tymczasem młynarz posłał parobczaka młynarskiego do gospodarza ze wsi sąsiedniéj, u którego ojciec Adasia umieścił swego chorego synka; parobczak zawiadomił gospodarza, że Adaś pozostanie u krewnych swoich, młynarzów; a potem młynarzowa napisała do krewnego swego w Warszawie, przypominając mu się i pytając, czy nie chciałby zostawić u nich Adasia, coby mu pewno wyszło na zdrowie?

Zamiast przysłać list z odpowiedzią, ojciec Adasia przyjechał sam, aby podziękować krewnym za ich dobroć, a gdy w kilka dni późniéj odjeżdżał napowrót, to Adasia zostawił we młynie, ku wielkiéj jego i Zosi radości. Odtąd Adaś był z każdym dniem zdrowszy, Zosia nie smuciła się więcéj i nie tęskniła za rodzeństwem, otaczając serdecznemi staraniami nowego braciszka, a oboje przez całe życie kochali niezmiernie ptaszki a szczególniéj skowronki za to, że się poznajomili ze sobą „przez skowronka”.

KASZTANEK.

Kasztanek, młody źrebaczek żywy i swawolny, po całych dniach biegał i wyskakiwał po łące, bo jeszcze za młody był do roboty. Przyszła w końcu jednak pora na Kasztanka, gdy podrósł dostatecznie i sił nabrał, zarzucono na niego uzdeczkę i zaprzężono do pługa obok starego Gniadosza. Potem kazano mu iść powoli, równo po roli, a gdy Kasztanek zaczął wierzgać, wyrywać się, dostał parę razy porządnie batem po grzbiecie i zaczął iść posłusznie i spokojnie, tak jak kazano. Stary Gniadosz zarżał lekko, co w mowie końskiéj znaczyło:

— Daj pokój, nie bądź uparty, to się na nic nie przyda, lepiéj wyjdziesz na łagodności i posłuszeństwie.

Usłuchał Kasztanek dobréj rady, ale dziwił się niezmiernie, że fornal kazał im chodzić raz po raz wzdłuż pola, a gdy doszli do końca, zawracał i znowu tąż samą drogą postępowali w stronę przeciwną. Podczas roboty nie było czasu na rozmowę, lecz gdy wieczorem Kasztanek stanął przy żłobie obok Gniadosza, powiedział do niego:

— Poco ten fornal kazał nam cały dzień tak zabawnie się przechadzać po polu i sam za nami się przechadzał? Jak też ci ludzie są niedorzeczni, żeby i nas i siebie darmo trudzić.

— To ty jesteś niedorzeczny — odpowiedział poważnie Gniadosz — rozprawiasz o tem, czego nie rozumiesz. Czy ci smakuje ten obrok?

— Bardzo smaczny — odrzekł Kasztanek — lepszy nawet od świeżéj trawy.

— A widzisz — mówił Gniadosz — gdybyś jednak nie ciągnął pługa, przechadzając się po łące, nie byłoby obroku; pole nie wyorane nie wydałoby owsa, a tybyś potem jeść co niemiał i zimą zginąłbyś z głodu.

— Ach! — zawołał Kasztanek — któżby się tego domyślił.

— Kto nie pracuje, ten niewart jeść — ciągnął daléj stary Gniadosz — ludzie także pracują i dzieci swoje przyzwyczajają do pracy. Są i pomiędzy niemi takie nierozsąne, jak ty, co narzekają na starszych i pytają, poco tego lub owego uczyć się trzeba, poco to się trudzić daremnie? Nie rozumieją, że każdy trud się nagradza, kto pracuje, ten plony zbiera ze swéj pracy.

Wyprawa po skórki,

przez Kazimierę.

— Z czego to robią trzewiczki? — zapytała pięcioletnia Helenka o rok starszego braciszka.

— Z czego? — powtórzył Julek — to ty nie wiesz, że ze skóry?

— A z czego skóra? — zapytała znów Helenka.

— Skóra? — powtórzył Julek, chcąc zyskać na czasie — skóra... no z konia! — krzyknął nagle, jak po zwycięzkiem odkryciu.

— Ehę, z konia — rzekła dziewczynka — konie takie czerwone i mają takie włosy, a nasze trzewiczki gładkie i bez włosów.

— Są konie i czarne — mówił zakłopotany Julek, trąc czuprynę — są i czarne, sam widziałem.

— Ale zawsze nie takie, jak nasze trzewiczki — mówiła dziewczynka, kręcąc główką.

— Można skórę z konia oparzyć — rzekł chłopczyk — to włosy wypadną; widziałem, jak Katarzyna raz oparzyła takiego małego prosiaczka, pamiętasz, co to nie chciałaś jeść i kazała ci mama wstać od stołu, pamiętasz?

— A ty pamiętasz, jak stałeś w kącie za to, żeś rzucił chleb na ziemię, bo mówiłeś, że cienko posmarowany, pamiętasz? — rzekła Helenka.

— Ale co tam, ty zawsze musisz być niegrzeczną, mama mówi, że takich rzeczy to rodzeństwo niepowinno sobie przypominać! — mówił Julek z niezadowoleniem.

— Tyś zaczął — usprawiedliwiała się Helenka — ale powiedz no lepiéj, z czego skóra? bo że z konia to nie uwierzę, konie zupełnie są inne.

Kłopot Julka był wielki, mimowolnie spojrzał na swoje buciki i musiał przyznać słuszność Helence, gdyż nic a nic nie były podobne do końskiéj skóry.

— Wiesz co — rzekł Julek po chwili namysłu — żebyśmy tak mogli gdzie dostać małych kawałków skórek, tobyśmy zaraz się dowiedzieli wszystkiego.

— To prawda — odpowiedziała Helenka — możebyśmy poszli na miasto poszukać gdzie takich kawałków.

— A właśnie teraz iść możemy — rzekł Julek — tatuś poszedł do kancelaryi, mamusia wyszła za sprawunkami, Jadwisia na pensyi, a Katarzyna obiad gotuje.

— No tak, ale co chwila do nas zagląda — rzekła Helenka, wracając odedrzwi — Katarzyna nas nie wypuści.

— E, czy my powiemy Katarzynie! —zawołał Julek zuchowato — ona tu niedługo zajrzy, a potem, jak drzwi za sobą zamknie, to my zaraz myk — i pójdziemy.

W téj chwili Katarzyna weszła do pokoju.

— A co tu dzieci robią? — zapytała — dobrze, dobrze, widzę, że się grzecznie bawicie, jak mamusia wróci, to powiem, żeście się tu pięknie zachowywali. Posiedźcie teraz spokojniutko, ja na chwilkę idę do piwnicy, a jak będziecie grzeczni, dam wam bułeczki z konfiturkami.

Pogłaskawszy dzieci po główce, bo to była stara, przywiązana bardzo do nich niańka dawniejsza, Katarzyna wyszła, oglądając się na nie z miłością.

— Prędko, Helenko, prędko — zawołał Julek, skoro tylko Katarzyna drzwi zamknęła — chodź, bo ona wróci niedługo.

— Kiedy się jakoś boję—rzekła Helenka, ociągając się trochę.

— Nie bój się, cóż to, stanie ci się co złego, jak pójdziesz ze mną? — rzekł Julek — śpieszmy się, dobrze, że Katarzyna poszła, to nie usłyszy, jak zatrzaśniemy drzwi za sobą.

Helenka już się nie opierała i dzieci wyszły z pokoju, choć otworzenie drzwi przyszło im z trudnością. Katarzyna, wróciwszy z piwnicy, nie mogła zaraz iść do pokoju, bo właśnie rosół zaczął kipieć i musiała go pilnować, a zresztą dzieci tak się grzecznie i cicho sprawiały, że nic a nic się nie obawiała o nie. Tak uszło przeszło pół godziny, wtem ktoś zadzwonił.

— Aha, pewnie pani wraca — mruknęła sama do siebie Katarzyna — trzeba iść drzwi otworzyć, bo dzieci nie potrafią.

I pośpieszyła, nie zauważywszy, że dzieci nie było w pokojach, przez które przechodziła. Rzeczywiście była to pani Solska, która powracała z miasta.

— A gdzież to dzieci? — zapytała najpierw, nie widząc ich przy sobie, gdyż zwykle wybiegały do przedpokoju na powitanie.

— Są, są, bardzo tu były grzeczne i spokojne — rzekła Katarzyna — pewnie przez figle schowały się przed mamusią.

P. Solska rozebrała się i zaczęłą dzieci szukać po kącikach, a Katarzyna, śmiejąc się, pomagała jéj w tem pilnie. Ale wszelkie poszukiwania były daremne, dzieci znaleźć nie było można, i niepokój ogarnął serce matki.

Wołano, szukano po łóżkach, po szafach, jednem słowem przejrzano każdy kącik, w którym zaledwie mysz mogłaby się zmieścić, a Julka i Helenki niema, nawet i śladu niema, gdzieby się podziać mogli. Więc mama ubrała się czemprędzéj i Katarzynie kazała zejść z sobą, rozpytały stróża i kogo tylko spotkały, nikt dzieci nie widział.

Pani Solska pobiegła w jednę stronę, Katarzyna zapłakana w drugą i spotkała się z panem Solskim, który szedł po coś zapomnianego do domu, i przeraził się niezmiernie, ujrzawszy wierną sługę tonącą we łzach.

Gdy dowiedział się o zniknięciu dzieci, nie poszedł już do biura, tylko udał się także na poszukiwanie zaginionych gdzieś tak tajemniczo dzieci, i rozesłał kilku posłańców w różne strony, opowiedziawszy, jak wyglądały zbiegi.

W parę godzin potem zeszli się wszyscy w domu, każdy szedł z nadzieją, że dzieci już zastanie, ale okazało się, że wszystkie poszukiwania nie doprowadziły do niczego.

Pan Solski pocieszał rozpaczającą żonę, ale biedna mamusia przypuszczała najokropniejsze niebezpieczeństwa, w jakie dzieci na ulicy popaść mogły.

I znowu udano się na poszukiwania, bo nikt na miejscu pozostać z niepokoju nie mógł, zostawiono tylko Jadwisię, która wróciwszy z pensyi płakała ze zmartwienia nad zniknięciem kochanéj siostrzyczki i braciszka.

Tymczasem Helenka, prowadzona za rączkę przez Julka, znalazłszy się na ulicy, zaczęła płakać, bo nigdy sama nie była jeszcze wśród ludzi. Lecz Julek nabrał jakoś odwagi i nachylając się do ucha siostrzyczki, rzekł:

— Cicho bądź, Helenko, bo jak zobaczy stójkowy, to nas zaprowadzi do cyrkułu.

Helenka zlękła się cyrkułu i szła spokojnie za braciszkiem. Przeszli tak kilka ulic, nie przebierając wcale, lecz skręcając w tę, którą pierwszą spotkali na drodze. Gdzie tylko ujrzeli w oknie wystawę obuwia, szli zaraz na dziedziniec, sądząc, że znajdą tam mnóstwo skórek, po które właśnie się wybrali, sądząc po dziecinnemu, że to ich wszystkiego pouczy; ale wszędzie było czysto, nigdzie nawet najmniejszego kawałka skórki znaleźć nie mogli.

Upłynęło parę godzin, dzieci zmęczyły się bardzo i poczuły głód nieznośny. Helenka znów się rozpłakała, a Julek nie miał innéj rady, jak postraszyć ją cyrkułem.

(d. n.)

SZARADA.

(Iskierka z cichego kącika).

Drugie przyimek, *pierwsze* nazwa rzeki,
Która przepływa kraj niezby daleki;
A *wszystka*, gdy dobra — to służy
W zimie do śpiesznéj podróży.

ROZWIĄZANIE DO N-ru 30 go.

Łamgłówki kryształowéj:

S
B Y K
M A R T A
M A R O K K O
S Y R O K O M L A
S A L O M O N
K O M A R
A L I
A

Skrzynka do listów.

Brzózkę srebrną z Polesia upewniamy, że z żalem wielkim zawsze obcinamy zadługie liściki, ale cóż poradzić, gdy miejsca braknie?

Wielki Wąż dobrze ułożył łamigłówkę, musi jednak poczekać cierpliwie, bo takich właśnie najwięcéj nadchodzi, a nazwisko Kraszewskiego zanadto już często w nich się powtarza. We wszystkiem trzeba rozmaitości.

Biała Ostróżka powinnaby sobie przypomnieć, że my zawsze o małe datki prosimy, z takich, byle licznie nadchodziły, składają się sumy znaczne. Ziarnko do ziarnka i t. d.

Konwalijka ucieszyła nas bardzo liścikiem, sądziliśmy, że o nas zapomniała. Winszujemy każdemu, kto może w téj porze oddychać wiejskiem powietrzem. Straszny ten wypadek pożaru poda zapewne Konwalijce sposobność do spełnienia dobrego jakiego uczynku. Dzieci tych biednych pogorzelców pewnie potrzebują okrycia. Zagadki umieścimy, ale troszkę późniéj.

Niezapominajka z nad Niewiaży ma tyle komedyjek w „Wieczorach", że mogłaby z nich wybrać. Nut nie drukujemy, czasem tylko muzykę do piosnek przy zabawie dla małych dzieci.

Poziomka kujawska i Owieczka bardzo miłe i zajmujące pisują liściki, żal nam zawsze, że tak króciutko odpisywać musimy. Podzielamy zdanie Poziomki, owa panienka, która podczas wakacyj ma zwiedzić słynniejsze miejscowości w kraju, jest bardzo szczęśliwa, że może tak przyjemnie i pożytecznie ten czas spędzić. Ale pobyt na wsi, zapoznawanie się z gospodarstwem, jest także pożyteczne dla panienek.

Mucyku z nad Rosi! Chciałbym bardzo ciebie poznać, bo także mieszkam nad Rosią, nazywam się Zenio, liczba liter twego pseudonymu jest liczbą moich lat. Napisz mi co o sobie, Wielki Wąż.

Kochana Chmurko Złocista! Dziękuję ci za liścik. Ja mieszkam na wsi w gubernii mińskiéj, mam lat 12, na imię mi Urszula. Będziemy z sobą korespondowały przez „Wieczory", czy zgoda? Twoja Brzózka srebrna z Polesia.

Kochana Lilijko z nad Horynki! Bardzo lubię muszki i dlatego wybrałam sobie taki pseudonym. Co do gospodarstwa, mamy jednakowy gust. Fotografią przyślę ci wkrótce, a tymczasem o twoję proszę. Kwitnij zdrowo i wesoło, Lilijko droga, życzy ci Muszka z nad Horynia.

Droga Iskierko z cichego kącika i Amato! Przepraszam, że wam tak długo nie odpisywałam, ale nie miałam czasu. Domyślam się, że ty, Iskierko, masz na imię Miecia. Wasze Światełko.

Kochani Pegazie i Niezapominajko Poleska! Dziękuję wam za pozdrowienie, wybaczcie, że tak długo nie odpisywałem, ale nie mam czasu, bo idę do szkół i gotuję się do egzaminów. Żegnam was, po wakacyach będę prawdziwy Dąb Poleski.

Kochana Szarżo! Wiem już teraz, kto jesteś. Przypomnij sobie starą bezzębną pszczelarkę, któréj fotografię ma Marcia, a która trzy lata temu mieszkała przez miesiąc na jednéj z wami pensyi w Warszawie. Otóż ta pszczelarka, moja rodzona siostrzyczka, kazała was pozdrowić. Pisujmy do siebie często, twoja Bułanka.

Kochana Wajdelotko! Ponieważ liścik twój nie był ogłoszony, więc teraz napisz co o sobie i czy spędzasz wakacye na wsi? Mnie wesoło schodzą na świeżem powietrzu u Wuja. Odpisz mi, Konwalijka.

NA KOLONIE LETNIE ZŁOŻYLI:

Kotek z Podola rs. 2. — Siostrzyczka jego Anusia rs. 2. — Jagódka z Podola rs. 2. — Halka z Litwy rs. 1.

Na szpitalik dziecinny: Ciekawianka kop. 50.

Дозволено Цензурою. Варшава 24 Іюля 1888 г. W drukarni Noskowskiego, ul. Mazowiecka Nr. 11.